



Stefan Żeromski - Ludzi bezdomni, część 9.

Judym nachylił się do swej towarzyszki i zapytał:

- Czy widzi pani dobrze pracę tych ludzi?
- Widzę... - rzekła głosem zdumionym.
- Tak, tak... niech się pani dobrze im przyjrzy.

Nie mówili nic więcej ani w halach, ani na ogromnych dziedzińcach zawalonych istnymi górami miału, gruzów, piasku. Wiatr porywał i nosił z miejsca na miejsce pyły i dziwne jakieś rdze lotne.

Gdy pożegnali uprzejmego mentora, minęli wrota fabryki i gdy jej mury daleko zostały, szli za miasto. Było już blisko południe.

Domy obok drogi i jej kanałów zarażonych zjadliwymi wyciekami fabryk były coraz mniejsze, coraz bardziej nędzne. Na końcu miasta wzdłuż drogi ciągnęły się budy, resztki chałup wiejskich, imitujące domy miastowe. Grunt tam był bagnisty. Dookoła stały zamokłe pastwiska, na których czarnym dnie ropiąca zohydzona woda. Nieco wyżej ciągnęły się glinianki napętnione wodą deszczową.

Gdzieniegdzie sterczała jeszcze sosna po wyciętym lesie. Judym wchodził z Joasią na podwórza domostw śmierdzących, otwierał drzwi nie proszony i oczami wskazywał jej ludzi. Były tam dzieci robotników z cynkowni. Wynaturzone okazy gatunku ludzkiego, przedwczesni starcy z obliczami trupów i wzrokiem, który wołał o pomstę do nieba. Spoglądały na nich babska paskudne i złe, twarze chorych, którzy może sądzili, że to śmierć nareszcie drzwi uchyliła...

Szli tak od domu do domu...

Zanim stamtąd zdołali się wydostać, Judym spytał nie podnosząc oczu:

- Gdzie zamieszkamy?

Długo nie odpowiadała. Oczy jej tylko jaśniały.

- Czy tu? - szeptał rysując coś na piasku.
- Gdzie zechcesz...

Miejsce na Twoją reklamę
info: reklama@lykwiedzy.pl

- Ale czy chciałabyś tutaj?

- Tak...

- Dlaczego tutaj?

- Chciałabym pomagać ci w pracy.

- Mnie... w pracy...

- Mylisz teraz: - „Co mnie i tobie niewiasto...”

Judym spojrzał na nią straszliwymi oczami i rzekł cichym, sennym głosem:

- Skądże ty te wyrazy...

- Założymy szpital, jak w Cisach. Och, mój Boże! Będzie to coś zupełnie innego. Ja będę twoją felczerką...

- Dobrze... Ale czy potrafisz dom prowadzić?... Dom?

- Ho! ho! Nie traciłam czasu na darmo. Wstawałam co dzień, w ciągu całego czasu, rano i szłam do gospodyni uczyć się gotować, prać, prasować, smażyć...

- Konfitury...

- Ale jakie! Żeby mój pan wiedział, jakie...

- Czy tak?

- A właśnie, że tak. Ułożyłam już wszystko, od a do z, jak to będzie w naszym domu.

- W domu...

- W naszym własnym domu... Nie myśl, że chcę dużego mieszkania albo mebli. Och, wcale! Brzydzę się meblami, politurą, lakierem. Firanki, dywany, jakież to wszystko brzydkie! Poczekaj, ja ci powiem...

- Joasiu...

- Poczekaj... Będziemy wszystko albo prawie wszystko, co inni obracają na zbytek, oddawali dla dobra tych ludzi. Ty nie wiesz, ile szczęścia... Z tej resztki, którą dasz swej żonie, z tej najostatniejszej, zobaczysz, co ona zrobi.

- Cóż ona zrobi?

Miejsce na Twoją reklamę
info: reklama@lykwiedzy.pl

- Ani się obejrzysz, kiedy nasze mieszkanie pełne będzie sprzętów prostych jak u najuboższych ludzi, ale za to pięknych jak u nikogo. My tu stworzymy źródło poczucia piękna, nowego piękna, sztuki jeszcze nie znanej, która obok nas śpi jak zaczarowana królewna. Będą to stołki sosnowe, ławy, stoły. Będą je okrywały proste kilimy...

- Tak, tak...

- Chodnik do sieni, utkany w chłopskim warsztacie ze skrawków niepotrzebnej materii, jest tak samo miły jak perski dywan. Ściany wyłożone drzewem świerkowym są cudnie piękne...

- Masz rację!... - rzekł Judym patrząc w jej twarz pełną szczęścia szeroko rozwartymi oczyma - to jest tak, niewątpliwie. Tak i ja myślałem. Człowiek tak samo przywiązuje się, musi się przywiązać do prostego kilimka jak do gobelinu, do zydlu jak do otomany, do światłodruku wystrzyżonego z czasopisma jak do cennego obrazu.

- Wszystko to pokochamy, bo będzie nasze w krwawym trudzie zdobyte, bez krzywdy niczyjej. Gdzież tam! Za każdą rzeczą będą szły przyjazne spojrzenia tych, co z miłością dla ciebie będą próg nasz opuszczali. Wszystkich ludzi, których ty uzdrowisz, dobry lekarzu... Dobry lekarzu...

Boski szept uwielbienia płynął z jej ust.

- Istotnie, jak ty wiesz wszystko, jak ty wszystko widzisz dokładnie! Wszystko to pokocham, bo będzie pochodziło od ciebie, z rąk twoich czystych. Te przedmioty staną się częścią mojej osoby, tak jak ręka, noga, może jak sama głowa, jak samo serce. I gdyby przyszło to wszystko porzucić, odrzucić jednym zamachem...

- Gdy przyjdzie gość albo pacjent, sam się zadziwi, że ludzie żyją szczęśliwie, a tak inaczej. Proste, czyste sprzęty, polne kwiaty w glinianym wazonie... Po cóż nam zimny blask wyrobów fabrycznych? Po co stroje, powozy? Nigdy nie czułam większej rozkoszy, jak kiedy ojciec mój zabierał mię na wózek bez resorów i wiózł do lasu po drodze pełnej wystających korzeni drzew, przeciętej wyrwami. Żaden resor nie potrafił uginać się tak doskonale jak dębowa „literka” wystrugana przez cieślę. Ach, ja już tak dawno straciłam gniazdo rodzinne! Prawie nigdy go nie miałam. W piątej klasie byłam zaledwie, gdy mię ojciec odumarał! Mamy prawie nie pamiętam... Każda istota ma swe ognisko, swój dach. Mały skowronek - i ten... Gdy pomyślę, że teraz moje życie tułaczę ma się już skończyć...

- A cóż się stanie z tymi chałupami, cośmy je widzieli przed chwilą? - zapytał Judym głosem pełnym jakiegoś jękania się i zgrzytu.

Stała na drodze i ze zdumieniem czekała. Patrzył na nią - to prawda, ale jej nie widział. Oczy jego były jakby zezowate i zbiegłe.

- Cóż zrobimy z nimi? - pytał się stojąc na tym samym miejscu.

- Z kim?

- Z nimi! Z tymi z budów!

Miejsce na Twoją reklamę
info: reklama@lykwiedzy.pl

- Nie rozumiem...

- Ja muszę rozwalić te śmierdzące nory. Nie będę patrzył, jak żyją i umierają ci od cynku. Polne kwiaty w doniczkę, to tak... To dobrze... Ale czy można?

Wzięła go za rękę, gdyż pewne przeczucie wolno jak zimna stal wpychało się w jej serce. Wyrwał rękę i mówił szorstkim, obrażającym głosem, patrząc przed siebie:

- Muszę ci wszystko powiedzieć, chociaż to dla mnie gorsze od śmierci. Doprawdy, doprawdy wolałbym umrzeć, jak Korzecki...

- Korzecki?

- Gdybym to mógł słowem nazwać! Ja tak cię kocham! Nigdy nie myślałem, że może się z człowiekiem stać coś takiego... Twoje uśmiechy, które odsłaniają serce, jakby zdejmowały z niego zasłonę. Twoje czarne, puszyste włosy... Budzę się w nocy i, już nie śpiąc, widzę cię, czuję cię na sercu moim. Minie długa, święta chwila i dopiero wiem, że nie ma nikogo... A odkąd tu przybyłem i zacząłem patrzeć, coś we mnie rozdmuchuje ogień. Pali się we mnie! Nie wiem, co to płonie, nie wiem, co trawi ten pożar...

- Mój Boże...

- Widzisz, dziecko...

- Mój Boże, jaką ty masz twarz!...

- Widzisz... Ja jestem z motłochu, z ostatniej hołoty. Ty nie możesz mieć wyobrażenia, jaki jest motłoch. Nie możesz nawet objąć tego dalekim przeczuciem, co leży w jego sercu. Jesteś z innej kasty... Kto sam z tego pochodzi, kto przeżył wszystko, wie wszystko... Tu ludzie w trzydziestym roku życia umierają, bo już są starcami. Dzieci ich to idioci.

- Ale cóż to ma do nas?

- Przecie to ja jestem za to wszystko odpowiedzialny! Ja jestem!

- Ty... odpowiedzialny?

- Tak! Jestem odpowiedzialny przed moim duchem, który we mnie woła: „nie pozwalam!” Jeżeli tego nie zrobię ja, lekarz, to ktoś to uczyni? Tego nikt...

- Tylko ty jeden?

Miejsce na Twoją reklamę
info: reklama@lykwiedzy.pl

- Otrzymałem wszystko, co potrzeba... Muszę to oddać, com wziął. Ten dług przekłety... Nie mogę mieć ani ojca, ani matki, ani żony, ani jednej rzeczy, którą bym przycisnął do serca z miłością, dopóki z oblicza ziemi nie znikną te podłe zmory. Muszę wyrzec się szczęścia. Muszę być sam jeden. Żeby obok mnie nikt nie był, nikt mię nie trzymał!

Joasia stanęła w miejscu. Powieki jej były spuszczone, twarz martwa. Nozdrza chwytały powietrze. Z ust padło krótkie słowo:

- Ja cię nie wstrzymam...

Były to wyrazy ciche i oblane krwią wstydu. Zdawało się, że z żył, gdy to mówiła, krew rozpalona wytryśnie.

Judym odrzekł:

- Ty mię nie wstrzymasz, ale ja sam nie będę mógł odejść. Zakiełkuje we mnie przyschłe nasienie dorobkiewicza. Ja siebie znam. A zresztą... nie ma już co mówić...

Wzdrygnęła się, jakby ją to słowo w tył pchnęło. Szli obok siebie w milczeniu, daleko, daleko...

Ciągnęły obok nich furmanki z rudą galmanu, przeróżne bryki, powozy... Szło dużo ludzi... Nie widzieli tego wszystkiego. Gościniec zaprowadził ich do lasu. Tam usiedli pod drzewem.

Joasia uczuła, że ramię Judyma wsparło się o jej ramię, widziała jego głowę zwieszoną na piersi. Nie była w stanie poruszyć ręką. Siedziała, jakby w twardy sen pogrążona, kiedy wypijamy morza boleści, nie mając siły wydać jednego westchnienia.

W pewnej chwili Judym usłyszał jej płacz samotny, jedyny, płacz przed obliczem Boga.

Nie dźwignął głowy.

O jakieś godzinie usłyszał jej głos cichy, z głębi łoża:

- Szczęść ci Boże.

Nie mógł odpowiedzieć sam za siebie, ale jakiś głos obcy, tak jakby Dajmonion, o którym pisał przed śmiercią Korzecki, wymówił z głębi jego serca:

- Daj Panie Boże.

Joasia wstała.

Przez chwilę widział spod bezwładnych, ciężkich, obwisłych powiek jej twarz bolesną. Była jak maska pośmiertna z gipsu.

Za chwilę stracił ją z oczu.

Miejsce na Twoją reklamę
info: reklama@lykwiedzy.pl

Siedział tam długo. Kiedy znowu rzucił oczyma na drogę, nie było już widać nikogo. Wiatr tylko porywał z niej kurz wapienny, miotał go w górę jak plewy.

Kurz wapienny, naśmiewający się...

Judym uciekł.

Szedł brzegiem lasu, później środkiem pastwisk błotnistych. Gdzieś błdził. Nad wieczorem ujrzał przed sobą w polu szkielet zabudowań kopalni.

Straszna nienawiść do tego widoku i wyniosła wzdarda, jak pysk w kły uzbrojony, otwarła się w jego piersiach. Szedł dalej.

Stanął nad brzegiem szerokiej wody, płytko rozlanej. W niskich, nędznych, żółkłych trawach kił ten czarny zalew śmierci, który nad otchłanią kopalni chwieje się lichymi falami. Ciemna woda zdawała się marzyć, zdawała się czekać, kiedy runie w głębinę wydrążoną, kiedy napelni puste lochy, kuszące próżnię, które ją ciągną, ssą, wzywają.

Judym ją poznał. To ona! Widział ją w nocy. Tej nocy... Szukał na falach świetlistego znaku, długiej ruchomej wskazówki, która przeszywa jak doborowa stal damasceńska. I uczył w sobie ostrze.

Daleko, daleko za lasami łkał świst pociągu, niby słowo tajemnicze zawierające sens życia.

Tuż obok stóp Judyma było szerokie, suche zawalisko, otwór w postaci leja zwróconego wierzchołkiem na dół. W głębi ziemi pod nim były niegdyś galerie kopalni. Warstwy skał piaskowca i łupku gliniastego, wskutek „wyrabowania” budynku podtrzymującego piętro, zerwały się od własnego ciężaru i spadając, odłamami swymi napęliły puste przestrzenie pokładów węgla. Gleba zewnętrzna zsunęła się w przepaść wraz z murawą, krzewami i utworzyła dół głębokości dwudziestu metrów.

W miejscu rozdarcia widać było pręgi piachu siwe i jasnożółte. Naokół stały karłowate, nędzne sosny.

Jedna z nich rosła na samym brzegu zawaliska. Oberwana ziemia ściągnęła w głębinę prawy jej korzeń, a lewy został na twardym gruncie. Tak ją dzieje kopalni rozdarły na dwoje. Pień jej stał jedną połową swoją w górze, a drugą szedł wraz z zawaliskiem, niby istota ludzką, którą na pal wbito. Tamten, z bryłami ziemi w dół ściągnięty, przeżył się jak członki na torturach. Wszczepione w głębę pazury górne trzymały się z całej siły.

Judym zsunął się w zawalisko, żeby go nikt nie widział. Rzucił się na wznak. Pod sobą w głębi ziemi słyszał od czasu do czasu huk wystrzałów dynamitu i prochu. W górze widział obłoki sunące po niebie lazurowym.

Obłoki jasne, święte, zaczerwienione obłoki...

Tuż nad jego głową stała sosna rozdarta.

Miejsce na Twoją reklamę
info: reklama@lykwiedzy.pl

Widział z głębi swojego dołu jej pień rozszarpany, który ociekał krwawymi kroplami żywicy. Patrzył w to rozdarcie długo, bez przerwy.

Widział każde włókno, każde ścięgno kory rozerwane i cierpiące. Słyszał dokoła siebie płacz samotny, jedyny, płacz przed obliczem Boga.

Nie wiedział tylko, kto płacze...

Czy Joasia? - Czy grobowe lochy kopalni płaczą?

Czy sosna rozdarta?

Miejsce na Twoją reklamę
info: reklama@lykwiedzy.pl